

## Henryk Sienkiewicz

### Walka byków

Niedziela!

Wielkie afisze porozlepiane od kilku dni na rogach Puerta del Sol, Calle Alcala i na wszystkich ruchliwszych ulicach oznajmiają miastu, że: „*si el tiempo lo permie*”, w dniu dzisiejszym odbędzie się XVI *corrida*, w której, jako *espadas*, wezmą udział Cara-Ancha<sup>1</sup>, Lagartijo<sup>2</sup> i przesławny Frascuello.[...]

Ruch w mieście zwiększa się, a na twarzach widać zadowolenie.

Godzina druga.

Rynek *Puerta del Sol* opróżnia się stopniowo, natomiast przez *calle de Alcala* ciągną w stronę Prado tłumy ludzi. Środkiem płynie rzeka dorożek i karet. Cały ten orszak powozów porusza się bardzo wolno, bo chodniki nie mogą pomieścić pieszych; mnóstwo ich idzie bokami ulicy i tuż koło pojazdów. Żandarmi na białych koniach, przybrani w okazałe mundury i stosowane kapelusze, pilnują porządku.

[...] Wchodzimy w aleję prowadzącą do cyrku. Tłum zbija się jeszcze szczelniej. Tu i owdzie podnoszą się okrzyki. To lud wita pojedynczych członków korridy, którzy w rozproszeniu ciągną do cyrku.

Oto jedzie omnibus, pełen kapeadorów, tj. uczestników walki, mających za całą broń czerwone kapy, którymi będą uwodzili i drażnili byka. Przez szyby widać czarne głowy harcapami, przybrane w trójkątne kapelusze. Różnobarwne kaftany kapeadorów wyszyte są srebrnymi i złotymi blaszkami. Jadą omnibusem, bo skromne wynagrodzenie, jakie pobierają za swoją niebezpieczną służbę, nie pozwala im na okazalszy pojazd.

Dalej nieco przeciskają się przez tłum konni pikadorowie. Słońce gra na ich białych szerokokolistych kapeluszach. Są to mężczyźni atletycznej budowy, ale przy tym chudzi i kościści. Wygolone twarze mają surowy i jakby skupiony wyraz. Siedzą na bardzo wysokich drewnianych siodłach, wskutek czego widać ich doskonale nad tłumem. Każdy z nich dzierży w ręku lancę zakończoną drewnianą gałką, w której osadzone jest żelazne ostrze, nie dłuższe nad pół cala. Bronią taką pikador nie może zabić byka; może go tylko ukłuć lub osadzić przez chwilę na miejscu; ale w tym ostatnim razie potrzebuje mieć olbrzymią siłę w ramieniu.

Mimo woli, patrząc na nich, przypominam sobie ilustracje Dorégo do *Don Kichota*. Jakoż każdy z tych jeźdźców mógłby służyć za model do rycerza "smutnej postaci". Ta chuda sylweta rysująca się twardo w błękiecie, wysoko ponad głowami tłumów, ta stercząca do góry lanca - i ów jasnokościasty koń pod jeźdźcem, ten czysto-gotycki zarys żywych istot - wszystko odpowiada zupełnie pojęciu, jakie wytwarzamy sobie o rycerzu z Manczy, czytając nieśmiertelne dzieło Cervantesa.

Lecz oto pikadorowie mijają nas i rozpychając zwolna tłum, wysuwają się znacznie naprzód. Widać już tylko trzy lance, trzy kapelusze i trzy zahaftowane na plecach kaftany. Najeżdżają nowi, tak niezmiernie podobni do poprzednich, jak gdyby pikadorów odlewała według jednakowej formy na całą Hiszpanię jakaś fabryka. Różni się tylko maść koni, które zresztą jednakowo są chude.

Oczy nasze zwracają się teraz na długi szereg powozów. [...]

W powozach siedzi kwiat towarzystwa madryckiego. Ubiory czarne, dużo czarnych koronek na parasolkach, wachlarzach, na głowach kobiecych; czarne włosy poprzycinane w grzywki, spod których spoglądają oczy, jak gdyby z lawy Wezuwiusza. Żałobne barwy, powaga i puder - oto cecha charakterystyczna tego towarzystwa. Twarze kobiet starszych i młodszych zarówno są wytarte pudrem, zarówno białe i zimne. Szkoda wielka. Gdyby nie ów szpetny zwyczaj, cera ich miałaby ten przepyszny gorący ton, na który składają się południowa krew i południowe słońce,

<sup>1</sup> Jose del Campo, zwany *Cara-Ancha* (1848–1925), cieszący się dużą sympatią publiczności matador hiszpański; występował do 1894 r.

<sup>2</sup> Rafael Molina Sanchez, zwany *Lagartijo* (1841–1900), sławny matador hiszpański, rywal *Frascuela*; debiutował jako *banderillero* w wieku 11 lat.

a który podziwiać można w twarzach, malowanych przez Fortuniego<sup>3</sup>.

Na przednich siedzeniach powozów widać mężczyzn, ubranych z nieco przesadną wykwintnością; wyglądają oni sztywno i zbyt świątecznie - inaczej mówiąc, nie umieją nosić wytwornych ubiorów z tą swobodną niedbałością, jaka cechuje np. wyższe towarzystwo francuskie.

Lecz mury cyrku rysują się coraz wyraźniej przed nami. W architekturze ich nie masz nic szczególnego. Ogromna budowa, obliczona na to, by pomieścić kilkanaście tysięcy widzów - oto wszystko. Ciekawszy jest ruch, który panuje pod murami. Naokół czarno od dorożek, powozów i głów ludzkich. Ponad tą ciemną masą, tu i owdzie jeździec na koniu, żandarm albo pikador, wystrzela w swoich świetnych barwach ku górze, jak mak rozkwitły.

Tłum kołysze się, rozprasza i skupia, nawołuje; woźnice krzyczą; jeszcze głośniej krzyczą malcy, sprzedający programy; ci wciskają się wszędzie: między pieszych i konnych, na stopnie i między koła powozu, niektórzy wdrapują się na skarpy cyrkowych murów, niektórzy stają na kamiennych słupkach, znaczących drogę dla powozów. Ich kędzierzawe czupryny, błyszczące oczy, wyraziste rysy, smagłe twarze i rozchełstane na piersiach, podarte koszule, przypominają mi nasze Cyganięta, a także i chłopców na obrazach Murilla. Niektórzy z nich sprzedają, prócz programów świstawki. Dalej między tłumami widać przekupniów pomarańcz, *aguadorów* z miedzianymi beczułkami na plecach; tu sprzedają kwiaty, tam słysząc brzęk gitary, na której gra stara, ślepa kobieta prowadzona przez dziewczynkę. Ruch, wrzawa, śmiechy; wachlarze furkoczą jakby tysiące skrzydeł ptasich - a na to mrowie ludzkie słońce zlewa potokami białe światło z głębokiego, bez jednej plamki błękitu.

Wtem ze wszystkich stron rozlega się okrzyk: „*Mira! Mira!*” (Patrz, patrz!) i po chwili zmienia się w grzmot oklasków, który na kształt prawdziwego grzmotu leci z jednego końca tłumów w drugi - to cichnie, to wzmacnia się - i roztacza naokół całego cyrku. Co się stało? Zapewne przyjeżdża królowa z dworem? Nie! - w pobliżu słysząc: „*Eviva Frascuello!*” To najślawniejszy espada przybywa po laury i oklaski.

Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, a cały tłum kobiet ciśnie się ku powozowi. W powietrzu poczynają migotać kwiaty, rzucane ich rękoma pod stopy tego ulubieńca, tego bohatera wszystkich snów i marzeń, tej „perły Hiszpanii”. Witają go zaś tym goręcej, że wraca z podróży do Barcelony, gdzie w czasie wystawy<sup>4</sup> wprowadził w podziw całą barbarzyńską Europę sztychami swej szpady, a teraz zawitał znów oto do ulubionego Madrytu, jeszcze sławniejszy, jeszcze większy - prawdziwy nowy Cyd *el Campeador*<sup>5</sup>.

Przeciskamy się przez tłumy, aby obaczyć bohatera. Naprzód, co za powóz i konie! Piękniejszych nie masz w całej Kastylji. Na białych, aksamitnych poduszkach siedzi, a raczej leży człowiek, którego wiek trudno odgadnąć, bo twarz ma najstaranniej wygoloną. Ubrany jest w kaftan z bladoliliowego aksamitu i także spodnie sięgające do kolan, obszyte koronkami. Kaftan i boczne szwy spodni lśnią się i mienią od przepysznych haftów, od blaszek złotych i srebrnych błyszczących w słońcu jak diamenty. Pierś jego zdobią najdelikatniejsze koronki. Nogi, przybrane w jedwabne różowe pończochy, trzyma skrzyżowane niedbale na przednim siedzeniu, a łydek mógłby mu pozazdrościć najpierwszy gimnastyk paryskiego hipodromu. Madryt chlubi się tymi łydkami - i zaiste ma czym.

Wielki człowiek wspiera się jedną ręką na czerwonej klindze swej toledańskiej szpady, drugą wita łaskawie wielbicieli i wielbicielek. Czarne jego włosy, zaczesane do góry, łączą się z tyłu głowy w niewielki grzybek, spod którego wymyka się krótki warkoczek. To uczesanie i wygolona twarz czynią go podobnym nieco do kobiety. Przypomina także prowincjonalnego aktora; ogólnie biorąc, oblicze jego nie odznacza się inteligencją, która zresztą nie stanowiłaby wprawdzie przeszkody w jego zawodzie, ale także nie byłaby mu na nic potrzebna.

Tłumy wchodzą do cyrku - idziemy z nimi.

<sup>3</sup> Mariano Fortuny (1838–1874), niezwykle popularny w swojej epoce malarz kataloński o akademickim stylu; mieszkał i zmarł w Rzymie.

<sup>4</sup> Chodzi tu o międzynarodową wystawę przemysłową w Barcelonie, zainaugurowaną w maju 1888 r. przez królową-regentkę Marię Krystynę; zorganizowano ją na terenie dawnej cytadeli przekształconej w park miejski.

<sup>5</sup> Waleczny, mężny (tradycyjny przydomek Cyda).

Oto jesteśmy we wnętrzu. Różni się ono od innych wnętrz cyrkowych tylko ogromem i tym, że siedzenia są kamienne. Najwyżej idą w krąg łoże, z których jedna, przybrana w aksamity i poźłociste frędzle, jest łożą królewską. W razie jeżeli nikt z dworu nie przybywa na widowisko, zajmuje ją prezydent miasta. Obok zasiada arystokracja i wysocy urzędnicy; naprzeciw łoży królewskiej umieszczona jest po drugiej stronie cyrku orkiestra. Rząd krzeseł z poręczami znajduje się w połowie wysokości cyrku - resztę siedzeń stanowią schody kamienne. W dole, naokoło areny, ciągnie się na wysokość ramion człowieka drewniany parkan. Między tym parkanem, a pierwszym rzędem siedzeń, wzniesionym, gwoździ bezpieczeństwa widzów, znacznie wyżej, biegnie wąski korytarz, do którego chronią się walczący w razie, jeśli byk zbyt im zagraża.

Połowa cyrku pogrążona jest w cieniu, druga połowa zalana światłem słonecznym. Na każdym bilecie, obok numeru siedzenia, wydrukowane jest: „*sombra*” lub „*sol*” (cień lub słońce). Oczywiście bilety „*sombra*” kosztują znacznie drożej. Trudno sobie wyobrazić, jak ci ludzie, którzy mają bilety „*sol*”, mogą wytrzymać w takim skwarze przez kilka godzin, siedząc na rozpalonych kamiennych stopniach i mając nad głową takie słońce! Wszystkie miejsca są jednak zajęte. Widocznie zamiłowanie do krwawego widowiska przewyższa obawę upieczenia się żywcem.

W krajach północnych różnica między światłem a cieniem nie jest tak wielka, jak tutaj; istnieją jakieś półcienia, półblaski, jakieś tony przejściowe, tu zaś granica odrzyna się czarną, twardą linią, bez żadnych przejść. W oświetlonej połowie piasek zdaje się palić, a ludzkie twarze i ubiory płonąć; [...] jest to po prostu świetlista topiel, pełna żaru, w której wszystko skrzy się i błyszczy nadmiernie, każda barwa potęguje się dziesięciokrotnie. Natomiast zacieniona połowa wygląda, jakby była okryta jakąś przezroczystą zasłoną utkaną z ciemności nocnych. Każdy człowiek, który przechodzi ze światła do cienia, czyni wrażenie zgaszzonej nagle świecy.

W chwili gdy wchodzimy, arena pełna jest ludzi. Mieszczanin madrycki lub mieszcanka musi przed widowiskiem dotknąć nogą tego piasku, na którym za chwilę rozegra się krwawy dramat. Wydaje im się, że przez to biorą niejako bezpośredni udział w walce. Liczne grupy mężczyzn stoją, paląc *paquitos* i rozprawiając żywo o zaletach byków z różnych stad. Małe *paupry* drażnią się i gonią wzajemnie. Oto widzę, jak jeden drugiemu podsuwa pod oczy kawałek czerwonej tkaniny, zupełnie tak jak kapeador bykowi. Chłopiec znosi to czas jakiś cierpliwie, na koniec zaczyna przewracać oczyma z gniewu i puszcza się w pogoń za przeciwnikiem. ów, wykręcając się zręcznie, zwodzi nieprzyjaciela ruchami kapy, znów zupełnie, jak kapeador byka. Malcy znajdują swoich widzów, którzy podniecają ich okrzykami.

Wedle parkanu przechodzą się zwolna przekupnie pomarańcz, głosząc zalety swego towaru. Handel ten odbywa się drogą powietrzną. Przekupień rzuca, na żądanie, z niechybną zręcznością pomarańczę, choćby do najwyższych rzędów - i tą samą drogą otrzymuje sztukę miedzianą, którą łapie jedną ręką, zanim dotknieła ziemi. Te głośnie rozmowy, śmiechy, nawoływania, gwar, furkotanie wachlarzy, ruch napływających widzów - wszystko to składa się na obraz tak pełen życia, że żadne inne widowisko nie może dać o nim pojęcia.

Nagle orkiestra uderza w trąby i bębny. Na to hasło, ludzie zajmujący arenę, lecą na swoje miejsca z takim pośpiechem, jakby życiu ich groziło niebezpieczeństwo. Czyni się ścisk. Ale po chwili wszyscy już siedzą. Naokół aż czarno: ramię przy ramieniu, głowa przy głowie! W środku tylko zostaje pusta, zalana słońcem arena.

Teraz naprzeciw łoży królewskiej otwierają się wrota w parkanie i na arenę wjeżdża dwóch *alguazillów*. Konie ich, białej maści, pyszne, jakby wycięte z obrazów; grzywy i ogony są zaplecione. Sami jeźdźcy, ubrani w czarne aksamitne berety z białymi piórami i w także kaftany o koronkowych kołnierzach, przywodzą na pamięć niezrównane płótna Velasqueza, które podziwiać można w Museo del Prado. Zdaje nam się, że jesteśmy przeniesieni w dawne rycerskie czasy. Obaj jeźdźcy są piękni, obaj okazałej postaci. Jadąc strzemię w strzemię, objeżdżają zwolna całą arenę dla przekonania się, czy jaki widz nieostrożny nie pozostał na niej, na koniec zatrzymują się przed łożą królewską i ruchem pełnym gracji odkrywają z uszanowaniem głowy.

Kto pierwszy raz jest w cyrku, tego napełnia podziwieniem ten uroczysty, niemal średniowieczny ceremoniał, te stroje i powaga jeźdźców. Wyglądają ci *alguazillo* na dwóch szlachetnych heroldów, którzy przed rozpoczęciem turnieju składają cześć monarsze. Jakoż jest to prośba o pozwolenie rozpoczęcia widowiska, a zarazem o klucz do stajen, w których zamknięte są byki. Klucz spuszcza się po chwili z łoży na złotym sznurku, *alguazille* kłaniają się raz jeszcze i odjeżdżają. Oczywiście, jest to tylko ceremonia, bo widowisko z góry zostało postanowione,

a byki są zamknięte na proste żelazne zasuwy. Ale ceremonia jest piękna i nie zaniechają jej nigdy.

W kilka minut po zniknięciu *alguazillów*, otwiera się najszersza brama i wchodzi cała *corrida*<sup>6</sup>. Na czele jej jadą ci sami dwaj *alguazille*, których już widzieliśmy przed lożą królewską; za nimi postępuje szereg kapeadorów, za kapeadorami ciągną *banderilleros* - pochód zaś zamykają pikadorowie. Cały ten zastęp gra wszystkimi blaskami tęczy, lśni się od haftów złota, srebra i różnobarwnych atłasów. Wychodzą z ciemnej niszy na słoneczną arenę, zanurzają się w jaskrawym świetle i rozkwitają jak kwiaty. Oko nie może się nacieszyć tą wielobarwnością przepysznych płam na tle złotego piasku.

Doszedłszy do środka rozpraszają się nagle jak rój motyli. Pikadorowie ustawiają się naokół pod parkanem i każdy wyciągnawszy lancę z tulei chwytą ją silnie w prawicę; piesi tworzą malownicze grupy, w postawach pełnych niedbałości oczekując na byka. Jest to może najpiękniejsza chwila widowiska, pełna oryginalności tak czysto hiszpańskiej, że człowiekowi mimo woli żal, iż nie jest malarzem. Ileż barw i ile słońca można by przenieść z palety na płótno!

Za chwilę już popłynię krew na arenie. W cyrku robi się cicho jak makiem zasiał, zaledwie dosłyszeć można szelest wachlarzy, które poruszają się tylko o tyle, o ile trzymające je ręce drżą z niecierpliwości. Wszystkie oczy zwrócone są na drzwi, którymi wypadnie byk. Czas teraz liczy się na sekundy. Nagle w orkiestrze odzywa się przeraźliwy a zarazem żałosny głos trąbki - drzwi od stajni otwierają się z łoskotem i byk wpada jak piorun na arenę.

Jest to wspaniałe zwierzę o wspaniałym potężnym karku, stosunkowo krótkiej głowie i ogromnych, podanych naprzód rogach. [...] Na pierwszy rzut oka poznasz, że to jest zwierzę, hodowane dziko, wśród wielkich przestrzeni, które wskutek tego, przy całej swej sile, posiada ruchy tak niemal szybkie jak jeleń, co właśnie czyni je niesłychanie niebezpiecznym. Nogi jego przednie są nieco wyższe od tylnych, jak zwykle u bydła pochodzącego z gór. Jakoż cyrkowe byki rekrutują się przeważnie ze stad hodowanych w Sierra-Morena. Maść ich po większej części czarna, rzadko czerwona lub srokata. Sierść jest krótka, połyskująca jak atłas; kark tylko obrosły jest nieco dłuższym, kręconym włosem.

Wpadłszy na arenę byk zwalnia kroku ku środkowi, spogląda krwawymi oczyma w prawo, w lewo - lecz trwa to zaledwie parę sekund - po chwili upatruje grupę kapeadorów, zniża głowę ku ziemi i rzuca się na nią na oślep. Kapeadorowie rozpraszają się, zupełnie jak stado wróbli, do których strzelono śrutem. Kręcą się teraz po arenie, wlokąc za sobą czerwone kapy z szybkością, od której kręci się w głowie; wszędzie ich pełno; migocą w prawo, migocą w lewo, są w środku areny, przy parkanie, przed oczyma byka z przodu, z tyłu. Kapy furkają w powietrzu, jak chorągwie szarpane wichrem.

Byk błyskawicznymi ruchami rozgania ich na cztery wiatry; goni za jednym, wtem drugi z boku podsuwa mu kapę pod same oczy; byk porzuca pierwszą ofiarę, by gonić za drugą, lecz zanim się zwrócił, podsuwa się ktoś trzeci. Dalejże w niego! Już przedział coraz mniejszy, już rogi byka zdają się dotykać pleców kapeadora; mgnienie oka jeszcze, a już zostanie przygwożdżony do parkanu - lecz oto człowiek dotyka ręką wierzchu parkanu - i ginie, jakby się w ziemię zapadł.

Co się stało? Oto kapeador przeskoczył na korytarzyk, ciągnący się między parkanem a pierwszym rzędem krzesel. Byk upatruje sobie innego, lecz zanim ruszył z kopyta, ów pierwszy kapeador wychyla głowę zza parkanu [...] - i przeskakuje znów na arenę. Byk ściga coraz zawzięciej tych nieuchwytnych nieprzyjaciół, którzy znikają mu sprzed samych rogów; poznaje wreszcie, gdzie się chronią, zbiera się z siłami; gniew dodaje mu rozpędu i na kształt wyścigowego konia przeskakuje przez parkan, pewien, że tam wygniecie jak robactwo swych nieprzyjaciół. Lecz oni w tej samej chwili przerzucają się ze zwinnością szympansov na arenę i byk biegnie pustym korytarzykiem nie widząc przed sobą nikogo.

Cały pierwszy rząd widzów przechyla się tym razem przez barierkę grzmocąc z góry byka laskami, parasolami, wachlarzami. Publiczność poczyną się rozgrzewać. Byk, który przeskakuje przez parkan, zapowiada się dobrze, podczas więc gdy pierwszy rząd grzmoci go, czym może - wyższe klaszczą w ręce, krzycząc: "*Bravo el toro! Muy buen! Bravo el toro!*"

On tymczasem trafia na otwarte drzwi i wybiega na arenę. Po przeciwnej jej stronie dwaj kapeadorowie siedzą sobie oto na stopniu idącym wokół podnóża parkanu i rozmawiają

<sup>6</sup> Tu: zespół uczestników widowiska.

<sup>7</sup> Brawo byk! Świetnie! Brawo byk!

najspokojniej. Byk puszcza się na nich natychmiast: jest już w połowie areny, a ci siedzą nie przerywając rozmowy; jest na dziesięć kroków, ci siedzą dalej, jakby go nie widzieli; jest na pięć, ci jeszcze rozmawiają. Okrzyki niepokoju odzywają się tu i owdzie w cyrku; dwaj zuchwalcy pierzchają, jeden w prawo, drugi w lewo - sprzed samych rogów. Rogi uderzają z głuchym łoskotem w parkan, w cyrku zrywa się burza oklasków - i w tej samej chwili ci i inni kapeadorowie otaczają znów byka, wyzywając go kapami.

Wówczas zaciekłość jego przechodzi w furję: miota się, rzuca, obraca się na miejscu; co chwila rogi jego zadają cios, co chwila zdaje się, że żadna siła ludzka nie wyrwie tego lub owego kapeadora od śmierci - tymczasem rogi przeszywają zawsze powietrze, a czerwone kapy migocą ze wszech stron; czasem upadnie która na ziemię - i w tejże sekundzie byk wbija ją niemal w piasek z wściekłości. Ale to mu nie wystarcza, musi on wyszukać sobie jakąś ofiarę i dosięgnąć jej koniecznie. Więc z głuchym rykiem i krwawymi oczyma poczyną biec przed siebie na oślep i nagle wstrzymuje się: nowy widok uderza jego oczy - jest to pikador na koniu.

Pikadorowie stali dotąd na swych chudych rumakach jak posągi, z lancami do góry. Byk, zajęty wyłącznie nienawistnymi kapami, nie widział ich dotąd, a jeśli i zauważył, to pomijał. Nie zdarza się prawie nigdy, by byk zaczynał naprzód walkę. Kapy pochłaniają jego uwagę i całą wściekłość. [...] Lecz teraz dość ma kap; jego furia szuka chciwie jakiegoś ciała, które by mógł przebość i nasycić swą zemstą.

Dla widzów, nieprzywykłych do tego rodzaju igrzysk, nastaje chwila straszna. Każdy pojmuje, że za chwilę krew musi być rozlana. Byk zniża głowę i cofa się kilka kroków, jakby dla nabrania rozpędu; pikador zwraca nieznacznie konia w prawą stronę ku napastnikowi, aby rumak, mający prawe oko przewiązane chustką, nie mógł się cofnąć w chwili napadu. Lanca o krótkim ostrzu zniża się w kierunku byka: ów cofa się jeszcze. Zdaje ci się, że się cofnie zupełnie, i ściśnięte twe piersi poczynają lżej oddychać. Nagle byk wali się naprzód na kształt skały toczącej się z góry w przepaść. Przez mgnienie oka widzisz lancę wyciągniętą jak pałak, którego ostry koniec tkwi w karku byka - i potem staje się rzecz po prostu ohydna. Potężna głowa i kark rozjuszonego zwierzęcia giną pod brzuchem końskim, rogi pograżają się aż po nasadę we wnętrzościach; czasem byk podnosi i jeźdźca, i konia w górę, czasem widzisz tylko wzniesiony zad koński, kopiący konwulsyjnie powietrze - zaczem jeździec pada na ziemię, koń wali się na niego i słychać chrobot siodła; z konia, jeźdźca i siodła tworzy się bezkształtna masa, którą rozszalały byk depce i przygważdża rogami.

Twarze nieprzywykłych do widowiska bledną. [...] Gdy się widzi jeźdźcę zwiniętego w kłęb, gniecione go ciężarem siodła i rumaka, a nad tym wszystkim rozszalałe zwierzę maczające z wściekłością rogi w tej kupie mięsa, zdaje się, że dla człowieka nie masz żadnego ratunku i że służba podniesie tylko z piasku krwawego trupa. Lecz to złudzenie! Wszystko, co się dzieje, leży w programie widowiska.

Jeździec pod irchą i haftami ma zbroję, która go broni od zgniecenia - upadł zaś umyślnie pod konia, aby ów zasłonił go swym ciałem od rogów. Jakoż byk widząc przed sobą mięsistą masę końskiego brzucha na nim głównie wyładowuje swą wściekłość. Dodajmy do tego, że czas katastrofy liczy się na sekundy. Kapeadorowie opadli byka ze wszystkich stron, ten zaś chcąc się od nich opędzić, musi porzucić ofiary. Jakoż porzuca je, goni znów za kapeadorami; dymiące, zmaczane we krwi jego rogi znów zdają się dotykać tuż, tuż ich pleców. Oni w ucieczce przeprowadzają go w drugą stronę areny, inni zaś tymczasem wydobywają spod konia pikadora, który pod ciężarem zbroi ledwie może się ruszać - i przerzucają go za parkan.

Koń próbuje się także podnieść, często nawet podnosi się jeszcze na chwilę, lecz wówczas straszny widok uderza oczy widzów. Oto z rozdartego brzucha zwiesza się mu cały wór wnętrzości wraz z różową śledzioną, sinawą wątrobą i zielonawym żołądkiem. Nieszczęsne zwierzę usiłuje postąpić kilka kroków, lecz drżące nogi płaczą mu się we własne kiszki, więc pada, kopie ziemię kopytami, drga - tymczasem nadbiega służba, zdejmując siodło i uzdę, męki zaś konia kończy uderzeniem sztyletu tam, gdzie głowa łączy się z szyją. Na arenie zostaje nieruchomy trup, który teraz, leżąc na boku, wydaje się dziwnie płaski. Wnętrzości prędko wynoszą się w koszu podobnym do balii, a publiczność bije z zapalem oklaski. Entuzjazm poczyną ją ogarniać: "*Bravo el toro! Bravo picador!*" - oczy się iskrzą, na twarze występują rumieńce - kilka kapeluszów leci na cześć pikadora na arenę.

*El toro* tymczasem, zaprawiwszy się raz we krwi, zabija kilka innych koni. Jeśli rogi jego pogrążą się nie w brzuch, ale pod łopatkę konia, wówczas strumień czarnej krwi bucha na arenę z nadzwyczajną obfitością, koń wspina się i przewraca wraz z jeźdźcem na wznak. Człowiekowi grozi podwójne niebezpieczeństwo, bo: rogi byka lub, mimo zbroi, skręcenie karku. [...]

Rzadko się zdarza, by pikador zdołał utrzymać byka na ostrzu lancy. Zdarza się to tylko wówczas, gdy albo byk naciera miękko, albo gdy pikador obdarzony jest olbrzymią, przechodzącą zwykłą ludzką miarę, siłą ramienia. Widziałem takie dwa wypadki w Madrycie, po których nastąpił prawdziwy huragan oklasków dla jeźdźcy.

Lecz zwykle byk zabija konie jak muchy - i straszny jest wówczas, gdy okryty potem, świecący się w słońcu, z zakrwawionym od lanc karkiem i ubarwionymi na czerwono rogami obiega arenę, jakby w pojeniu zwycięstwa. Głuchy ryk wydobywa się z jego potężnych płuc - czasem rozpędza kapeadorów, czasem zatrzymuje się nagle nad nieruchomym już ciałem konia i mści się nad nim straszliwie; porywa je na rogi, obnosi wokół areny obrzucając skrzepłymi kroplami krwi widzów pierwszego rzędu; to znów rzuca je na poplamiony piasek i dziurawi na nowo. Widocznie wydaje mu się, że widowisko jest już ukończone i że skończyło się jego triumfem.

Lecz widowisko zaledwie dobiegło połowy. Pikadorowie, których konie ocalały z pogromu, wyjeżdżają wprawdzie z areny, lecz na ich miejsce wbiegają w podskokach i wśród okrzyków sprężyści *banderilleros*. Każdy z nich we wzniesionych do góry rękach ma dwie strzały, na łokieć długie, przybrane - odpowiednio do kaftana *banderillera* - w niebieskie, zielone lub czerwone wstążki, a zakończone haczykowatym ostrzem, które raz wbite pod skórę, już z niej nie wypadnie. Ci poczynają krążyć koło byka trzęsąc strzałkami, wyciągając ku niemu ostrza, grożąc i podskakując. Byk toczy krwawymi oczyma, zwraca głowę w prawo, w lewo i spostrzega, że to są nowi jacyś nieprzyjaciele: "Ach! - mówi widocznie do siebie - mało wam było krwi, chcecie więcej - dobrze!" - i wybrawszy człowieka, rusza z kopyta.

Lecz cóż to się dzieje? Pierwszy z brzegu *banderillero*, zamiast uciekać, pędzi ku bykowi, przebiega mu przed głową, jakby go chciał pominąć, lecz w tej jednej sekundzie zawisło coś tęczą w powietrzu: człowiek z pustymi już rękami pędzi, ile sił w nogach, do parkanu, a w karku byka zostaje para barwistych strzał. Po chwili tkwi już druga para, po chwili trzecia - razem sześć, o trzech kolorach. Kark zwierzęcia wygląda teraz, jak gdyby przybrany w pęki kwiatów, lecz te kwiaty mają straszniejsze od wszystkich róż kolce. Za każdym ruchem byka, za każdym rzutem głową, strzały poruszają się, trzęsą, przelatują z jednej strony karku na drugą, a każde ostrze wierci tym samym w ranie. Oczywiście z bólu zwierzę wpada w obłęd wściekłości, lecz im bardziej się rzuca, tym ból większy. Dotychczas byk czynił krzywdę - teraz poczyną się dziać jemu krzywdy, i to straszna. Chciałby pozbyć się tych bolesnych strzał, lecz nie ma na to rady. Wścieka się oto tylko z męki i nuży do ostatka. Piana pokrywa jego nozdrza, język wysuwa się z pyska - już nie ryczy, ale w krótkich przerwach między dzikimi okrzykami, klaskaniem i wrzaskiem widzów słychać jego jęk z akcentem niemal ludzkim. Zmęczeni go kapeadorowie, skaleczył go każdy pikador, teraz wiercą mu się w skaleczeniach strzały; dopełniają męki upał i pragnienie. [...]

Jeden byk nie dostaje nigdy więcej jak trzy pary *banderilli*. Gdy to zadanie zostanie spełnione, znów w orkiestrze odzywa się długa i żałosną nutą samotna trąbka - i nadchodzi chwila najbardziej wzruszająca, najbardziej tragiczna z całego widowiska. Wszystko, co się działo dotąd, było tylko przygotowaniem dla niej. Teraz rozegra się czwarty akt dramatu.

Oto na arenę wchodzi właściwy *matador*<sup>8</sup>, to jest *espada*. Ubrany on jest tak samo jak inni uczestnicy igrzyska, jeno wytworniej i suciej. Kaftan na nim cały od złota i haftów; pierś zdobią cenne koronki. Odróżnić go można i po tym, że występuje zawsze bez kapelusza. Czarne jego włosy, zaczesane starannie w tył, kończą się na plecach małym warkoczykiem. W lewej ręce trzyma czerwoną sukienną chorągiewkę, w prawej toledańską długą szpadę. Kapeadorowie otaczają go, jak żołnierze wodza, gotowi zawsze w chwili niebezpieczeństwa skoczyć na ratunek, a on zbliża się do byka skupiony, chłodny, ale groźny i zwycięski. W całej widowni serca biją silnie i nastaje chwila ciszy.

W Barcelonie i Madrycie widziałem czterech najsłynniejszych w całej Hiszpanii *espados* i doprawdy przypuszczam, że poza swą zimną krwią, zręcznością i wprawą mają oni w sobie jakąś

---

<sup>8</sup> Dosł. „zabójca”.

siłę hipnotyczną, która działa na zwierzę i napełnia je tajemniczą trwogą. Byk po prostu inaczej zachowuje się względem *espady* niż względem poprzednich uczestników igrzyska. Nie idzie zatem, żeby się miał przed nim cofać: przeciwnie, napada go z większą zaciekłością i natarczywością. Ale w poprzednich jego atakach prócz zaciekłości była widocznie jeszcze pewna ochoczość. Gonił, rozpraszał i zabijał tak, jakby był przekonany, że całe to widowisko jest dla niego i że chodzi tylko o to, aby on zabijał. Teraz, na widok tego ziemnego, straszego człowieka ze szpadą w ręce, przekonywa się, że to nad nim jest śmierć, że musi zginąć, że tu, na tym krwawym piasku, spełni się za chwilę ta rzecz okropna.

Owa psychologia zwierzęcia jest tak jasna, że każdy ją odgadnie. Może być nawet, że ona, przez swą tragiczność, stanowi urok widowiska. Ten potężny organizm, kipiący wprost nadmiarem życia, ochoczości, siły - nie chce umierać, nie chce za nic w świecie! A tu śmierć idzie nieunikniona, nieprzeparta - więc nieopisany żal, nieopisana rozpacz przebiega we wszystkich ruchach zwierzęcia. Na kapeadorów, których dawniej ścigał tak zawzięcie, zaledwie teraz zwraca uwagę; atakuje samego *espadę*, ale atakuje z zupełnie wyraźną rozpaczą.

On zaś nie zabija od razu, bo wedle prawideł igrzyska nie jest to dozwolone. Zwodzi on byka ruchami chorągiewki, sam usuwa się spod rogów za pomocą lekkich a nieznaczących obrotów; upatruje chwili, to cofa się, to postępuje naprzód; pragnie widocznie nasycić publiczność - już, już wznosi szpadę - i zniża ją znowu. Walka przetacza się po całej arenie, rozświeca się w słońcu, przygasa w cieniu. W cyrku zrywają się okrzyki, to powszechne, to pojedyncze, z piersi jakiej seniority, która nie może pohamować swego zapału. Czasem grzmia brawa; czasem, jeśli *espada* cofnął się niezręcznie lub zadawał cios zawodny, gwizdania rozdzierają uszy. Już byk dał kilkadziesiąt uderzeń rogami - zawsze w chorągiewkę, już publiczność ma dosyć, już odzywają się tu i owdzie głosy: „*Mata el toro! Mata el toro!*” - Zabij byka.

I oto następuje błysk tak nagły, że oko uchwycić go nie może - potem grupa walczących rozprasza się - i w karku byka, nad barwnymi banderillami, widać czerwoną rękojeść szpady. Ostrze przeszło przez kark i tkwi pogrążone w dwóch trzecich w płucach zwierzęcia. *Espada* pozostaje bezbronny; byk atakuje go jeszcze, lecz on uwodzi go po staremu chorągiewką, sam zaś półobrotami chroni się od uderzeń.

Tymczasem zdaje się, że w cyrku ludzie poszaleli. Już nie okrzyki, ale ryk i wycie rozlegają się wokół, od góry do dołu. Wszyscy zrywają się z miejsc. Na arenę lecą bukiety, cygarniczki, kapelusze, wachlarze. Walka ma się ku końcowi.

Bo oto oczy byka zachodzą bielmem, z pyska zwieszają mu się stalaktyty krwawej śliny, jęk jego staje się chrapliwy. Noc obejmuje mu głowę. Niczym już blask i żar słoneczny. Atakuje jeszcze, ale jakoby już przez sen. Coraz mu ciemniej i ciemniej. Na koniec zbiera resztki przytomności - cofa się pod parkan - przez chwilę chwieje się i klęka na przednie nogi, potem na tylne - i poczyną konać.

*Espada* już na niego nie patrzy; oczy ma zwrócone ku widzom, skąd kapelusze i cygarniczki lecą ciągle na kształt gradu; kłania się; kapeadorowie odrzucają widzom kapelusze. Tymczasem przez parkan przełazi cicho czarno ubrany, tajemniczy człowiek, przykłada bykowi sztylet tam, gdzie kręgi szyi schodzą się z czaszką, zanurza go lekkim ruchem po rękojeść i zawierca. Jest to cios miłosierdzia, po którym głowa byka opada na bok<sup>9</sup>.

Wszyscy uczestnicy walki wychodzą. Przez chwilę arena pozostaje pusta - widać na niej tylko trup byka i ostygłe już, wypatroszone trupy czterech lub pięciu koni. Ale po chwili wpadają z wielkim pędem ludzie z mułami przybranymi wspaniale w żółte i czerwone kulki; zaprzęgają owe muły do trupów - i zataczają z nimi koła tak, aby publiczność mogła się jeszcze widokiem nacieszyć, po czym równie wielkim pędem wypadają za drzwi areny.

Lecz nie sądzcie, aby widowisko kończyło się na śmierci jednego byka. Po pierwszym następuje drugi, po drugim trzeci itd. W Madrycie ginie na przedstawieniu sześć byków. W Barcelonie, w czasie wystawy, bito po osiem. Nie sądzcie również, aby publiczność nużyła się jednostajnością walki. Naprzód, sama walka urozmaica się licznymi epizodami, których przyczyną bywa temperament, większa lub mniejsza zaciekłość byka, większa lub mniejsza znajomość rzemiosła ludzi itd. Po wtóre, publiczność ta nigdy nie nudzi się widokiem krwi i śmierci.

---

<sup>9</sup> Toreador dobijający byka nazywa się *cachetero* (*cachete* lub *cachetero* to krótkie i ostre narzędzie do uśmiercania bydła) lub *puntillero* (od *puntilla*, sztylet).

Toreadorowie (naprawdę w Hiszpanii nikt z uczestników walki nie nazywa się toreadorem<sup>10</sup>) dzięki swej zręczności rzadko wprawdzie giną. Ale jeśli się to zdarzy, widowisko uważane jest jako tym wspanialsze - i byk otrzymuje także same oklaski, jak *espada*. Że jednak i wypadki z ludźmi trafiają się czasem, dowodem tego jest, że na każdym przedstawieniu prócz doktora obecnym jest także ksiądz z sakramentami. Duchowny ów nie znajduje się oczywiście między widzami, ale czeka w osobnej izbie, do której w razie wypadku wnoszą rannych.

Czy z czasem, pod wpływem cywilizacji, walka byków zostanie zaniechaną w Hiszpanii, trudno orzec. Zamiłowanie do tych walk leży bardzo głęboko w naturze hiszpańskiego ludu. Rade uczęszczają na nie i wyższe, inteligentne warstwy społeczne. Obrońcy tych igrzysk mówią, że ostatecznie nie są one niczym innym, tylko hazardowym polowaniem, odpowiednim rycerskiemu charakterowi narodu. Lecz polowanie jest rozrywką, nie zawodem; w polowaniu nie masz widzów, jeno aktorzy; nie masz tłumów kobiet, w połowie omdlewających z rozkoszy na widok męki i śmierci. Na polowaniu wreszcie nie naraża nikt swego życia za pieniądze.

Gdyby mnie zapytano, czy to jest piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak. Piękna zwłaszcza jest jego oprawa: to słońce, te cienie tysięcy wachlarzy, na widok których zdaje ci się, że rój motylów obsiadł cyrkowe rzędy; te oczy, te purpurowe wilgotne usta. Piękna jest ta nieprzebrana ilość tonów ciepłych a mocnych, ta masa barw, złota, haftów, ten rozpalony piasek, od którego tchnie żar - wreszcie te dowody zuchwałej odwagi i ta groza, która nad igrzyskiem się zwiesza. Wszystko to jest wiele piękniejsze od strug krwi i porozdzieranych końskich brzuchów.

Kto jednak znał te widowiska tylko z opisów, a później zobaczy je własnymi oczyma, ten mimo woli pomyśli: co to za dziwny lud, dla którego największą zabawą i rozkoszą jest widok rzeczy tak strasznej, bezwzględnej i niepowrotnej jak śmierć. Skąd to rozmiłowanie? Jestli to prosty zabytek średniowiecznego okrucieństwa czy też ów pociąg, jaki budzi się w wielu ludziach na widok np. przepaści. Przyjść jak najbliżej, na sam skraj, dotknąć tej zasłony, poza którą zaczyna się tajemnica i otchłań - jest to dziwna namiętność, która w pewnych duszach staje się nieprzepartą.

O Hiszpanach można powiedzieć, że w całym przebiegu swej historii okazywali ów pociąg do bezwzględności. Mało który lud był tak okrutnym w boju, żaden religii miłości nie zmienił w tak posępny i krwawy kult - żaden wreszcie dziś nie bawi się igrząc ze śmiercią.

---

<sup>10</sup> Słowo „toreador” jest w jęz. hiszpańskim archaizmem, zastąpionym już w XIX w. przez *torero* (oba terminy pochodzą od *Torwar*, walczyć z bykami na arenie).